



Scena zbiorowa z III aktu sztuki Korcellego „Dzień na prowincji” w wykonaniu Teatru Państwowego w Gnieźnie.

Aby więcej było czerwonych proporczyków

W gabinecie dyrekcji Teatru Państwowego w Gnieźnie wisi duża mapa. Rozsiane na niej są małe czerwone proporczyki znaczą miejscowości, do których dociera zespół Teatru. W promieniu 180 km od Gniezna wszystkie miasta powiatowe i miasteczka gminne stanowią teren działalności gnieźnieńskiego Teatru Objazdowego.

— Zespół nasz — mówi dyrektor artystyczny Teatru ob. Maria d'Alphonse — potrafił zdobyć sobie szacunek i uznanie wśród widzów. Nie było to sprawą łatwą. Trzeba było przełamywać wiele różnorodnych trudności. Znaczną część naszych widzów zetknęła się ze sztuką dramatyczną po raz pierwszy w życiu. Nasz widz w terenie to nowy, żywy odbiorca przedstawień teatralnych. Pracuje się dla niego chętnie. Uderzające jest zachowanie publiczności: spokój, skupienie oraz gorące brawa po przedstawieniu.

— Jakże były formy naszej pracy z widzem? — Nawiazaliśmy ścisły kontakt z terenem. Przeprowadziliśmy ankietę wśród widzów — mówi kierownik literacki gnieźnieńskiego Teatru Zdzisław Giżejowski. — Sugestie naszej publiczności dotyczące programu, dni i godzin przedstawień staraliśmy się uwzględnić w naszej pracy.

Mocno zbliżyły nas do widzów krótkie pogadanki wygłaszane przed spektaklem, naświetlające epokę, w której tworzył autor sztuki.

Zatrzymując się więcej jak jeden dzień, nawiązywaliśmy kontakt z zespołami świetlicowymi, konsultując przygotowywane przez nich przedstawienia. Mamy wiele listów z terenu, z prośbą o radę przy wyborze sztuki dla zespołu amatorskiego, lub z prośbą wypożyczenia egzemplarza sztuki granej przez nas.

— W planach naszej pracy z widzem — mówi dalej ob. Giżejowski — chcemy więcej uwagi zwrócić na nasze miasto. W terenie często odwiedzają nas członkowie prezydiów gminnych rad narodowych, wyrażają swoją opinię o przedstawieniu, doradzają, interesują się żywo naszą pracą. W Gnieźnie na 1500-nym niestety przedstawieniu Teatru nie było nikogo z członków prezydiów obu rad narodowych.

Może jest tu trochę winy i z naszej strony, za mało staraliśmy się zainteresować społeczeństwo gnieźnieńskie problemami teatralnymi. Dopiero w okresie jesienno-wiosennym ruszamy na podobny widów gnieźnieński. Koło ZMP zaczyna w październiku w świetlicy Teatru cykl odczytów o sztuce dramatycznej, przeznaczony dla aktywności kulturalno - oświatowego Gniezna. Wprowadzamy, wzorując się na innych teatrach, dyskusje publiczne po próbie generalnej. Dla starszych klas szkół średnich będziemy dawali pogadanki popularizujące teatr. Sądzimy, że nowe formy pracy pomogą nam w nawiązaniu ścisłego kontaktu z widzem gnieźnieńskim i nareszcie zainteresują władze naszą pracą.

— Jak przedstawia się wasz plan repertuarowy na najbliższy okres?

— Kończymy w tej chwili wyjazd ze sztuki Korcellego „Dzień na prowincji” — informuje Maria d'Alphonse. — Przedstawienie w terenie bardzo się podobało. Trzy świetlice robotnicze zwróciły się po egzemplarz, pragnąc sztukę wystawić u siebie. 6 października odbędzie się premiera komedii Zabobonnik „Zabobonnik”. Przewidujemy w tym roku jeszcze dwie premiery: „Okno w lesie” Rach-

manowa i Ryssa oraz „Ich czworo” Zapolskiej.

Linia wytyczną naszej pracy jest walka o stały wzrost poziomu artystycznego przedstawień oraz dobór sztuk najbardziej potrzebnych w terenie. Uparcie walczymy jednak z wszelkimi trudnościami. W pracy naszej „mierzymy siły na zamiary”.

Rozmowę przeprowadziła ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Osiągnięcia nauki poznańskiej

(Dokończenie ze str. 1)

technologicznej, jak np. ciepłej, plastycznej itp.

Poza tym Zakład Chemii SI prowadzi prace badawcze oczyszczania ścieków i wód użytkowych.

Ważne zadanie: upowszechnienie wiedzy

Udział naukowców poznańskich w okresie dwudziestolecia w towarzystwach naukowych, znajdujących się również poza Poznaniem, a w szczególności w PAU, znalazł obecnie swą kontynuację w ramach organizacyjnych PAN i w pracach przez nią prowadzonych. W chwili obecnej mogło się jednak do końca większe zbliżenie do potrzeb życia i pracy, a także do samego człowieka pracującego, w czym przodują zwłaszcza nauki rolnicze, techniczne i lekarskie. W zakresie tych ostatnich znajdujemy wiele ważnych stwierdzeń w sformułowaniach pod sekcji nauk medycznych obecnej sesji.

W ostatnim dziesięcioleciu dokonano się rozbudowa organizacyjna, w czym mieści się również wzrost liczby uczelni wyższych różnych typów. Wzrosła też bardzo znacznie liczba absolwentów i związane z tym przygotowanie pracowników specjalnych. W samych badaniach wysuwane są w szczególności zasady zespołowości i kompleksowości zagadnień. Można tu wspomnieć udział naukowców poznańskich w przedsięwzięciach naukowych podjętych w skali ogólnopolskiej przez Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Na miejscu przykładem takich prac może być w szczególności Komitet Fizjograficzny, pracujący przy PTPN od r. 1946, a łączący w swym gronie przedstawicieli różnych dyscyplin przyrodniczych. Przykładem zespołowych prac będących już w toku jest także Słownik Encyklopedyczny terminologii biologicznej, prowadzony przez PTPN i Słownik Starożytności Słowiańskich, koncentrujący się w Instytucie Zachodnim w Poznaniu. Przykładem współdziałania różnych metod badawczych były wreszcie referaty wygłoszone na zakończonej sesji, poświęcone formowaniu się miasta na przykładzie Poznania.

Praca zespołowa musi mieć jednak charakter planowy, a do tego celu służą dyskusje i przygotowane recenzje. Plan wychodzący z naszego środowiska są uzgadniane z planem ogólnym PAN. We współpracy tej szczególne interesy środowiska naukowego poznańskiego znajdują, jak należy się tego spodziewać, u-

(Dokończenie ze str. 1)

skich od niemieckich socjaldemokrati Poznania. Zdemonstrowanie istotnego celu działalności nacjonalistów z PPS nastąpiło w Poznaniu tym wcześniej, że o mało co nie doprowadzili oni przez podsycanie waśni narodowych do rozbicia międzynarodowej organizacji „Równość”. Agenci burżuazji odpowiedzialni na walkę toczoną przez robotników Poznania w obronie zasady proletariackiego międzynarodowemu najbardziej podłymi oszczerstwami. W Poznaniu dotknęły one przede wszystkim doświadczonych i ofiarnych działaczy Przytułskiego, w pierwszym rzędzie jednak były wymierzone przeciw działającym właśnie na terenie Wrocławia nielegalnie Kasprzakowi.

W swych rezolucjach poznańscy socjaldemokraci Polacy często podkreślali swoją solidarność z robotnikami Niemcami. Tak np. w jednej z rezolucji z roku 1895 — odpowiadając na groźbę ponownego wprowadzenia ustaw wyjątkowych — stwierdzali, że:

„Uważamy za swój obowiązek zaznaczyć przed światem jak najściślej łączność z to-

warzyszami niemieckimi... Jeżeli imowa Wilhelma II oznacza walkę, my polscy robotnicy znajdziemy się solidarnie u boku socjalistów niemieckich”.

Marcin Kasprzak na czele organizacji poznańskiej

W ostrej walce przeciw kierownictwu PPS układał się w latach 1895—96 w Poznaniu ośrodek międzynarodowej organizacji socjalistycznej ruchu robotniczego. Robotnicy poznańscy odczuwali jednak od czasu wyjazdu Przytułskiego z Poznania, (który został pozabawiony pracy i był zmuszony do wyjazdu przez policję pruską) brak doświadczonych i wykształconego agitatora i przywódcy. W takiej sytuacji w roku 1896 stanął ponownie na czele organizacji poznańskiej Marcin Kasprzak. Przyjął ona w listopadzie 1896 roku nazwę „Towarzystwa Robotników Poznańskich” — Posener Arbeiterverein.

W następnym roku przystąpiono do umasowienia ru-

wielkie zagadnienia gospodarcze i kultury narodowej. Właśnie nauka, reprezentowana przez jej tak liczne i różnorodne dyscypliny, jest powołana do służenia w pierwszym szeregu tym wielkim zadaniom. W oparciu o dorobek dotychczasowy i w najwyższej trosce o jego pomnożenie musi ona wykonywać swą pracę i mnożyć kadry najlepiej do tego uzdolnionych pracowników.

Nauka jest jednak tylko jednym z wielkich zagadnień życia całego narodu. Dlatego zaś życia społecznego i w interesie nauki potrzebujemy sprzyjających warunków zewnętrznych. Tym podstawowym warunkiem jest pokój na całym świecie. Naród nasz i jego nauka walczą i pracują w jego obronie, pamiętając tragiczne doświadczenia ubiegłych lat wojennych.

Prof. dr Kaz. Tymieniecki

Kilka wartościowych książek z okazji 10-lecia Ludowego Wojska ukaże się na półkach księgarskich

Z okazji 10-lecia Ludowego Wojska Polskiego na półkach księgarskich ukaże się kilkadziesiąt pozycji wydawniczych MON, związanych tematycznie z wieloletowym tradycjami polskiego oręża, z historią Ludowego Wojska Polskiego i jego szlakiem bojowym. Szereg tych pozycji już się ukazał. Dalsze ukażą się w najbliższym okresie.

Prócz monografii „Szlak bojowy Ludowego Wojska Polskiego” — najważniejszej z dotychczas wydanych tego rodzaju prac — najszerze rzesze czytelników otrzymają z okazji X rocznicy wiele wydawnictw, których treścią są poszczególne etapy zwycięskiej walki prowadzonej przez Ludowe Wojsko Polskie z hitlerowskim najeźdźcą. Należą do nich m. in.: praca W. Tuszyńskiego pt. „Kościuszkowcy w walce o Pragę” W. Batuka, „Na wale Pomorskim” oraz prace opisujące bohaterskie walki naszego wojska nad Turą i Bugiem, pod Studziankami i Warką, a także prace ilustrujące inne etapy szlaku bojowego WP. Ponadto ukaże się kilka książek dla młodzieży: „Bohaterowie Ludowego Wojska Polskiego”, „Pod sztandarem Wojska Polskiego” i inne.

Bohaterom walkom Ludowego Wojska Polskiego a także walkom toczonym w latach okupacji przez partyzantów poświęcił swe utwory również wielu naszych literatów. Staraniem wydawnictwa MON ukaże się m. in. ostat-

chu przez rozbudowę zianiebanych całkowicie przez kierownictwo PPS związków zawodowych. W roku 1898 robotnikom poznańskim przybył z pomocą doświadczony działacz związkowy z Saksonii — Józef Gogowski. Wkrótce powstał tak zwany „kartel robotniczy” tj. terenowe zjednoczenie klasowych związków zawodowych (organizacyjny odpowiednik dzisiejszej ORZZ). „Kartel” już w roku 1899 zrzeszał około 900 robotników obu narodowości pracujących w rozmaitych zawodach. Rzecz charakterystyczna — nastąpił wówczas całkowity zanik spotykanych jeszcze przedtem antagonizmów narodowościowych między robotnikami.

Socjaldemokratom poznańskim w ich walce o umasowanie ruchu pomagali tacy działacze SDKPiL jak Róża Luksemburg i Julian Marchlewski. Róża Luksemburg, która od roku 1897 była również jednym z czołowych przywódców lewicy socjaldemokracji Niemiec, pomagała ruchowi robotniczemu w Poznaniu nie tylko radami (m. in. w roku 1900 policja pruska skonfiskowała u Kasprzaka około 50 listów tej doświadczonej rewolucjonistki). Przyjeżdżała często do Poznania w celach agitacji i pomocy w organizowaniu zebrań. Radą służył robotnikom Poznania także i Julian Marchlewski. Dzięki takiemu kierownictwu i pomocy czołowych rewolucjonistów polskich, ruch robotniczy w Poznaniu rośnie mimo olbrzymich trudności w sile. W roku 1900 kartel zrzeszał w samym tylko Poznaniu ponad 1400 robotników. W tym samym roku zaczęło wychodzić pierwsze poznańskie pismo robotnicze — związkowa gazeta „Oświata”.

Silne zaostreżenie przeciwnictwa klasowych wystąpiło na jaw ze szczególną ostryścią w latach 1900—1904. Kryzys jaki w tych latach ogarnął całą Europę był silnie odczuwany i w Poznaniu — rolniczej półkolonii II Rzeszy. Kapitaliści chcieli przerzucić na barki klasy robotniczej ciężar kryzysu, dążyli do zmniejszenia zarobków i przedłużenia czasu pracy. Jednocześnie obszarnicy przeforsowali wprowadzenie ceł żywnościowych,

nie zbiór reportaży laureata tegorocznej nagrody państwowej — Jerzego Putramenta zatytułowany „Od Wołgi do Wisły”.

Dużym powodzeniem wśród licznych rzesz czytelników cieszy się wydana ostatnio powieść Władysława Machajki „Żywy ogień”. Tematem powieści jest walka bohaterów partyzantów AL z hitlerowcami.

Na półkach księgarskich ukaże się również wybór żołnierskich wierszy — Lucjana Szenwalda.

Poza tym już w najbliższych dniach wydana zostanie powieść Janusza Przymanowskiego „Żołnierze czterech rzeek”, obrazująca szlak bojowy I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki od obozu sieleckiego do Berlina przez Okę, Bug, Wisłę i Odrę.

Ciekawą pozycję stanowić będzie pamiętnik Mariana Janica „Ida, partyzanci”. Miłośnicy literatury o tematyce wojennej otrzymają również powieść Jerzego Korczaka o II Armii pt. „Odcinek południowy”. Z utworów poetycznych należy wymienić dwa nagrodzone poematy Leopolda Lewina „Żołnierska droga” i Henryka Huberta „Drogi”.

Poza tym w przygotowaniu znajduje się II tom „Z notatnika korespondenta wojennego” Janiny Bróńkowskiej i zbiór opowiadań „Żołnierskie dni”.

które wpłynęły na zwiększenie cen artykułów pierwszej potrzeby.

Całe Poznańskie ogarnęła fala zaciętych walk strajkowych. Poza Poznaniem, w którym liczba członków organizacji zawodowych wzrosła już do 2 tysięcy, strajki wybuchły również i w mniejszych miastach. Niektóre z nich trwały po kilka a nawet kilkanaście tygodni. W Poznaniu najpoważniejsze sukcesy odnieśli robotnicy budowlani, którzy ostatecznie zapewnili sobie 10-godzinny dzień pracy oraz wywalczyli podwyżkę zarobków.

W obronie praw narodu polskiego

Równocześnie w tym okresie na fali zaostreżających się walk klasowych proletariatu, coraz bardziej potęgowała się również walka mas ludowych przeciw rosnącemu uciskowi kolonizatorsko - germanizatorskiemu.

Arcebiskup Stableski zwał całą nastroje walki mas ludowych przeciw pruskiemu germanizatorom i określał je jako uleganie „wrogowi dusz naszych, który do wywrótu porządku bożego i społecznego chce nas zwodniczo pociegnąć hasłami ponętnymi”, a jednocześnie w myśl wskazań Watykanu ogłaszał Wilhelma II „apostolem chrześcijaństwa”.

Cała „obronna” akcja obywatelskiego koła polskiego w Reichstagu, którego przewodniczył Kościelski już w roku 1891 uważał Polaków za „polsku modlących się, a wiwatujących na cześć swego króla — Prusaków”, sprostowała się do utyskiwań na to, że echa zbrodni germanizatorów na bezbronnych dzieciach mogą „uszczipić powagę Rzeszy niemieckiej”. Działalność jego ograniczała się nie do obrony polskości, a do dbania o „autorytet Kaizera”.

W tym samym czasie jednymi, którzy rzucili hasło przeciw germanizacji, byli socjaldemokraci poznańscy. Nie było to przypadkowe. Róża Luksemburg pisała:

„Język polski, narodowość polska mają zginąć w Prusach, 3 miliony polskiego ludu mają zapomnieć, że się urodzili Polakami i przetrwać się na Niemców, dzieci nasze mają zapomnieć języka swych ojców i matek, a wnuki, że na polskiej mieszkali ziemi! Włosy na głowie powstają, gdy pomyśleć o takich zakusach, a pięść się zaciska z rozpaczy... Zaprawdę czas jest wielki, aby lud polski otrząsnął się z martwości, aby oburzeniu swemu dał wyraz, aby powstał do walki przeciw germanizacji”.

To właśnie Marcin Kasprzak, więzień caratu i kalzerowskiej II Rzeszy, prześladowany i denuncjowany w podły sposób przez PPS, kolportował nie zważając na bandyckie wyczyny bojówek endeckich broszurę Róży Luksemburg „W obronie narodowości” po wsiach podpoznańskich. Stawał za to przed sądem pruskim.

Dzieje walk mas ludowych Poznańskiego dowodzą, że w praktyce walki robotników polskich tkwiły już w owym okresie — często mimo, lub nawet wbrew fałszywym i szkodliwym, typowym dla ówczesnego etapu rozwoju ruchu robotniczego w Polsce koncepcjom luksemburgizmu — elementy przyszłej hegemonii proletariatu.

Ich przecieć — obok SDKPiL dotyczy chlubna o-cena Lenina:

„My tylko polskich socjaldemokratów uważaliśmy za socjalistów”. Lenin podkreślał przy tym, że „olbrzymia historyczna zasługa socjaldemokracji polskiej jest stworzenie pierwszej, prawdziwie marksistowskiej, prawdziwie proletariackiej partii w Polsce, w kraju na wskroś przesłanym tym dążnościami i namietnościami nacjonalistycznymi”.

Zb. Szumowski

Waldemar Karoliński jednać sobie ludzi nie umiał. Stanowczo nie umiał. Ot, chociażby jego zachowanie w fabrycznym autobusie, którym co rano jeździł. Słomy do pracy z petli tramwajowej na Dębca.

Poranny ścisk, wiadomo, może być różny. Czasem pogodny, okraszony nawet żartami, czasem porywczy, jak chmurna zapowiedź burzy, czasem znów nieżyczliwy, najeżony kolcami urazów o każdy ruch, czy słowo, jakby cały człowiek był z nagniotków.

Taki musiał być chyba Karoliński, gdyż wszystko mu w autobusie zawadzało. Na ostrzejszym zakręcie ludzie chylił się nagle, jak tan złoza na wietrze. Zartowali przy tym co nie miara, gdyż do Żabikowa jeździło się na wesoło, co najwyżej w milczeniu.

Karoliński był inny. Krzywił się, od suwał, strzepywał swój zielony raglan, jakby go czyjeś dotknięcie brudziło. A jak patrzył czasem, jak pogardliwie wstrząsał ramionami... Tfu! Kobiety tak się w tramwaju o nylony nie trzęsą, jak ten o swą wyleciałą katangę. Aż śmieszne. Niewysoki, chuderlawy, z baczkami ściętymi na skos, nisko, niemal na policzkach, z plackami nieregularnej łysiny nad czołem. Nie pasowały jakoś do jego postaci takie pretensje, o nie pasowały.

W fabryce piast rowerowych Waldemar pracował od niedawna. Trafił do sortowni, ale nos wtykał wszędzie. Przygadywał na każdym kroku.

Na powiernika obrał sobie długiego Zenka Galasa, jedynego chyba, którego urzekł manierami i strojem.

— Ech, ja bym tu dopiero porządek zaprowadził — mówił czasem do Zenka. — Żebym tak na przykład został przewodniczącym rady zakładowej. Zobaczylibyś wtedy...

Co by wówczas można zobaczyć, nie powiedział. Może go spłoszyłem. Mi nałem ich szybko, ale jeszcze usłyszałem za sobą: — Ty się mnie, chłopie, trzymaj! Żle na tym nie wyjdiesz.

Dziwił się Zenkowi. Ten wielki, łagodny chłopiec, o policzkach gładkich i rumianych, jak u dziecka, sprawiał wrażenie, jakby dopiero co puścił matczyną spódnicę, by stanąć przy wiertarce. A przecież przekroczył już osiemnastkę i miał za sobą kurs przysposobienia przemysłowego.

Chyba imponowało mu, że Karoliński nie sobie z niczego nie robi.

— Ja bym, uważasz, inaczej ubrał się — mącił mu w głowie Waldek przy lada okazji. — A ludzi do galopu brać umiem, ho, ho! Grunt raz tylko się wybić. Potem już sam płyniesz. Niesie cie prąd... — W słowach tych był cały Karoliński.

Fabryka nasza powstała przed dwu laty. Pracował tu od początku ociemniały składacz piast, Tomasz Kasperczyk. Karoliński ze szczególnym upodobaniem czepiał się jego osoby. Powtórzono mi kiedyś taką rozmówkę.

— I po co niewidomy w fabryce? Kłopot tylko, a nie robota.

Temu nawet łagodny Zenek odważył się zaprzeczyć.

— Jakto kłopot? Pracuje, i to lepiej niż inni. Dwa razy przodownikiem został.

Ale Karoliński obstawał przy swoim.

— Gadać zdrowo o takiej robocie. Co tam inwalida zrobi? Dobrze to do gazet, ale nie do montażu.

— Wszyscy wiedzą, że składa dobrze, a... przecież z czegoś żyć musi.

— Ja mu żyć nie zabraniam. Ma rentę, niech w chacie siedzi. No, niech koszyki plecie. Nic nie powiem, zawsze tak bywało. Ale żeby do mechanicznej fabryki... Ja ci, Zenek, powiadam, że to tak dla reklamy zrobili...

Złoscił się wszyscy na te gadaninę, gdyż Tomasz cieszył się sympatią i szacunkiem, a rada zakładowa troszczyła się, by miał odpowiednie warunki do pracy, ale cóż? Głupiemu języka nie ubnie. Zazwyczaj słowa takie ulatywały w powietrze jak dym. Raz jednak ich niespodziewane echo utrwaliło się mocno w pamięci załogi.

Zaczęło się to po fajrancie — w umywalni. Spieszyliśmy się do odjazdu na Dębca. Każdy zajęty był mydłem i szcztoką. Naraz gwar przycichł i w plusku wody rozleżały się słowa: — A ja ci nieraz, Zenek, mówiłem, po co niewidomy w fabryce?

Zaległa grobowa cisza. Widziałem jak Galas szturcha ostrzegawczo Waldemara w bok. Za późno. Pierwszy od wejścia mył się Kasperczyk.

Czekaliśmy w ciszy, co z tego wyniknie. Zenek zaczerwienił się, jakby mu kto w twarz dał.

A Tomasz, jakby nigdy nic, wytarł starannie ręce, chwycił mydło, laske i szybko wyszedł. Może nie dosłyszał. Ale nie — wyraz zadowolenia ustąpił mu z twarzy, a mięsiste wargi ściągnęły się naraz w bolesnym skurczu.

W umywalni buchnął gwar. Wsiadli pewno na eleganta. Nie wiadomo do czego by doszło, gdyby nie sygnał samochodowy. Autobus wrócił z Dębca i niecierpliw się przed portiernią.

Mogło się komuś wydawać, że Kasperczyk puścił całe zdarzenie w niepamięć, ale nie mnie. Nie od dziś znam Tomasa. Razem przyszliśmy do Żabikowa z ZISPO, gdzie wyrabia

LESZEK PROROK

ZŁOTE RĘCE

no piasty, nim tutaj fabryka powstała. Już ja dobrze wiedziałem, że nowa krecha na czoło coś tam oznacza.

Cóż to być mogło? Rozmyślał na pewno, skąd się wzięła niechęć Karolińskiego. Może zapytywał sam siebie, czy już tak ciasno na świecie, że zawadza temu zdrowemu mężczyźnie o wyzywającym, zuchwałym głosie? I dlaczego tylko jemu? Z wszystkimi z załogi łączyła składacza zdrowa, fabryczna zażyłość, z niektórymi serdeczna poufałość.

Praca Tomasa żądała skupienia! Odpędzała podobne myśli Gładka, lśniaca piasta torpeda, kryje w swym wnętrzu 32 części, każda o innym wykończeniu, innej wadze, innej powierzchni. Kasperczyk zna dobrze ich tajemnice. Wie, którym można zaufać, które zaś potrafią zamącić harmonię rowerowej piasty. Patrzył nieraz, jak przeciąga palcem po wianuszkach kulek i sprawdza, czy nie zaciera się w koszykach, jak próbuje czy zabierak obraca się swobodnie w korpusie. Zna wnętrze torpeda jak nikt w Polsce. A przecież i on musi się skupić, by złożyć ponad dwieście piast dziennie.

Tymczasem słowa Karolińskiego, na tretnie jak podrażniony trzmiel, powracały, jęczyły, zmuszały do poprawek, do powtórzenia przeoczonych czynności.

Co tam Karoliński. Chłystek. Ale jeśli tak myślał inni, poza kręgiem fabrycznych przyjaciół: po co niewidomy w fabryce? To sprawa delikatna. Kasperczyk idzie w czołówce załogi, a ludzie z zewnątrz sadzą może, że jest ciężarem. Podobne słowa muszą boleć, jak każda niesprawiedliwość.

Nasz Kasperczyk jest dawnym górnikiem. Stracił wzrok przy pracy w ostatnim roku okupacji w kopalni Wirek, na Śląsku. W chodniku było ciemno. Nabój przełamany zbyt blisko twarzy przysnął do oczu pyłem prochu. Nie uszkodził twarzy, lecz zniszczył wzrok w wielotygodniowej chorobie.

Niemalże trudu włożył Kasperczyk od tamtych chwil, by zdobyć nowy zawód i nowy stosunek do świata, by nadać biegleść zrenic grubym, chropowatym palcom czołowego rębacza pokładu. Osiągnął wreszcie co zamierzył. Ma prawo zlekceważyć głupie, bezmyślne słowa: po co niewidomy w fabryce? A jednak fakt, że ktoś je rzucił — boli!

Nadeszła wiosna. Karoliński co sobotę wsiadał do autobusu z głową tak wypomadowaną, że już w połowie drogi znana śmieszka, Jadzia Kotarska, krzyczała na cały wóz: Ratujcie mnie! Uduśić można się od tych zapachów! Wszyscy śmiali się, a Waldemar ze złości czerwieniał po samą łysinę.

Nie wiodło się elegantowi w Żabikowie. Nagabnął raz dyrektora Szafranka, prosząc o zmianę zajęcia: — I co byście chcieli robić? — zaciekał się dyrektor. — Coś inteligentniejszego niż sortowanie, panie dyrektore, ot, może składanie piast...

Nie była to myśl nowa. Karolińskiemu praca ta wpadła w oko: — Robotę spokojną. Siedzisz sobie — mówię o niej kiedyś do Galasa. — W sam raz dla mnie.

Dyrektor odparł: — Po pierwsze mamy już składacza. Po wtóre nie znacie tej pracy, a to wcale nie jest proste.

— Ja nie znam się? — Waldemar walił się żarliwie w wąską pierś na świadectwo prawdy. — Sześć lat do spółki ze szwagrem warsztat mechaniczny na prowincji prowadziłem. Ile ja piast narozbierałem... niech się ten niewidomy schowa.

Nie mógł później zrozumieć, dlaczego dyrektor rozsiadł się i odesłał go do sortowni.

Zdarzyło się wkrótce potem, że zawieźliśmy na wózek partię sprawdzonych korpusów do montażu, ja i Zenek. Chłopak pomagał zdejmować skrzynki, w których blyszczały rzędy niklowanych cylindrów na drewnianych kółkach, a ja rozglądałem się po warsztacie. Kasperczyk przerwał na chwilę składanie i słuchał jak się krzątała. Naraz rzucił:

— I cóż tam twój przyjaciel, Zenek?

— Jaki przyjaciel? — zdziwił się chłopiec.

— Wciąż taki zawzięty na mnie?

— nalegał składacz.

— E nie... To jest... — Aby pokryć zmieszanie Zenek zaczął się kręcić między stołami.

Tymczasem Tomasz zaczął wolno i dobitnie, unosząc krepą, muskularną postać ponad skrzynki z częściami, rozstawione na stole.

— Wiesz co, Zenek? Powiedz temu furfantowi, żeby sam tu kiedy przyszedł. Co on tak zza ploty?... Powoli na śniadych policzkach wykwiłał uśmiech, flety jak nigdy. — Albo lepiej zaprosz ty go do mnie na skład

anie piast. Niech pokaże, co umie. — Jak mu dobrze pójdzie, sam go u dyrektora na pomocnika zaproteguję. Powiedz, że go Kasperczyk na zawody zaprasza. I że może sobie wpiąć poćwiczyć. Niech w nadgodzinach składa podzespoły: zabieraki czy sprzęgiełka. Wprawi się i zarobi więcej.

Wmieszałem się i ja do rozmowy.

— Po co ci, Tomasz?... I tak wiemy wszyscy coś wart. Co on cię obchodzi?

— Zostaw! — Nieznana mi dawniej powaga zadźwięczała w tym głosie. — On sobie pewno wyobraża, że taka praca w fabryce, to dla nas niewidomych jakiś laskawy chleb. Ano, niech się przekona, że taki chlebek sam do ust nie wpada.

Może intuicja składacza odkryła istotną przyczynę niechęci Waldemara. A może starania tego ostatniego zbiegły się przypadkowo z propozycją inwalidy. I to było możliwe.

Wieść o wyzwaniu składacza dobiegła do Karolińskiego wcześniej, niż mu ją przyniósł Zenek. Z końcem



pracy mówiła o niej cała załoga. Udział eleganta w turnieju zadecydował się niejako poza nim samym. Od rzucił wyzwanie znacząco tyleż, co ośmieszyć się z kretešem. Waldemar stał się naraz przedmiotem powszechnego zainteresowania. Schlebłaby to jego próżność, gdyby nie podejrzenie, że ciekawość wszystkich przepaja drwina.

Cóż mam opowiedzieć o samym wyszcu? Nie różnił się od każdego innego dnia pracy. Tyle chyba, że byliśmy trochę podnieceni, a Karoliński pociał się jak mysz. Zdawać się mogło, że cała historia najmniej obchodzi Kasperczyka. Pracował jak co dzień, spokojnie, miarowo. Czasem nucał coś pod nosem. Każdy wychodził tego dnia z montażu zadowolony. Kasperczyk najwyraźniej w świecie brał ze skrzynek podzespoły, zanurzał palec w puszcze z towotem. Bez żadnego namaszczenia kręcił korbką klucza. Nie minęło półtorej minuty, a przechyłał się w bok i prawą ręką odkładał nową piastę, gotową do kontroli. Leżała w podstawionej skrzynce równie tenko jak puszkę konserw. Czasem namacał jakiś zadziór, czasem brakowało mu rowków w nakrętce, odrzucał zbrakowaną część do osobnej skrzynki.

Do dziewiątej złożył 90 sztuk. Wynik ten obiegł w czasie przerwy całą fabrykę.

Jak dawniej Waldemar unikał ociemniałego, tak tego dnia często kręcił się w korytarzu między narzędziownią a montażem. Naszedłem go tam zniechęca, gdy przez uchylone drzwi wpa trywał się w stół Kasperczyka.

Tomasz pochylał się nad robotą. Oczy, nieprzykryte czernią szkielec, całkiem zwyczajne, jak u innych, nie zdradzały z daleka swego stanu, podobnie jak nie zdradza go przepalona żarówka. Nad wysokim czołem, zredukowanym zmarszczkami chwiało się bujna, szpakowata czupryna. Wyraz skupienia, rozsiadły na twarzy szerokiej, o wydatnych policzkach i ścianięte wargi nadawały mu bardziej niż komukolwiek w fabryce znajomego człowieka, zatopionego głęboko w swej pracy.

Uwagę Karolińskiego przyciągały wyraźnie ręce ociemniałego. Przesuwały się wśród gęstwiny rozłożonych części szybko, sprawnie, nieomylnie. Z niezawodną pewnością wyszukiwały każdy przedmiot, układały go w prawidłowej pozycji, w pełnym zrozumieniu znaczenia wszystkich tajemniczych nacięć, ząbków i otworów.

Kasperczyk zszedł z pracy wcześniej — po 6 godzinach, odesławszy do kontroli 250 piast. Wypadła mu niespodziewanie wywiadówka w szkole u syna. Nie chciał przekładać terminu, choć dla Waldemara pozostała pełna zmiana.

— Patrząc co za fason — biegle od maszyny do maszyny — po sześciu godzinach schodzi i liczy piasty jak za pełny dzień. — A może on tak specjalnie — domyślano się. — Oho, nasz Kasperczyk umie szyku zadać. A cóż na to Karoliński?

Waldemar już przed południem poszedł odpocząć. Zjawił się odświeżony o trzeciej. Czekają nań pełne skrzynki sprawdzonych podzespołów. Z ciekawości wróciłem wieczorkiem do fabryki.

— Jak tam idzie — pytałem już na portierni.

— Co ma być... — śmiał się szeroko stary odzwierny, Waszak — Kuśtyka. Denerwuje się Waldek, denerwuje się i kuśtyka.

Złoscił się rzeczywiście, gdy ktoś zajął do montażu. Związał się jak fryga. Drobniejszy był i na miejscu Kasperczyka wyglądał pociesznie, tak byliśmy przyzwyczajeni do tamtego. Od czasu do czasu na blaszaną piastę stołu brzęknął upuszczony pierścień, sprzęgło, czy ośka.

Jak młodziak wypadło zestawienie obu zmian, dowiedzieliśmy się dopiero rano. Karoliński złożył zaledwie 95 piast. Nie był to zresztą wynik zły. Norma dzienna wynosi 83 piasty.

Nazajutrz Waldemar nie mógł opętać się od zapytań, jak poszło. Więcej w nich zresztą było ciekawości niż drwiny. I tak przekroczył normę, czego nikt się po tym pyszaku nie spodziewał. Uciekał przed zapytaniami w najjaśniejszy kąt, gdzie leżał ziom. — No, wiesz już chyba, po co niewidomy w fabryce? — pytali koledzy z sortowni.

— Psiakrew! Takie już mam garbate szczęście — wyrwało się pechowemu zawodnikowi w czasie przerwy. Jedliśmy śniadanie na podwórzu, siedząc na skrzynkach w rozkosznym słońcu. — Człowiek od innych więcej wie, a nie mu nie wychodzi.

— Nie gadać — zaśmiał się dobrodusznie stary Waszak, który wyszedł do nas z portierni. — Jest jedno, co ci wychodzi, jak nikomu w fabryce.

Karoliński poruszył grdyką gwałtownie, jakby się krztusił. Zawsze tak się wzruszał, gdy go ktoś pochwalili. Spojrzał na staruszkę ciepło, niemal przymilnie. Spodziewał się pewno osłody w porażce.

— No, no, panie Waszak... — zachęcał. — A co takiego?

— A włosy, dobrodzieju! Tak ci wychodzą jak nikomu.

Głośny rechot przeleciał dziedzińcem. Elegant spojrzął na kpiarza rozwścieczony i bezwiednie przejechał dłonią po resztkach uwłosienia. Wywołało to nową salwę śmiechu.

— Ale cię przerobił... Zakpił niespodziewanie Zenek. Dzień wczorajszego nadzarpnął poważnie markę Waldemara w jego oczach.

Spadło teraz na chłopaka to wszystko, przed czym wielki ochronił Waszaka. Karoliński podskoczył doń z twarzą nagle poczerwieniałą.

— Ty smarkaczu nie mądrzyj się! Nikt cię nie pyta. Widzicie go! Wyso, ki do nieba... Wiesz jak daleko?... głupi jak nie trzeba. — Grymas lekceważenia wykrzywił zacietrzewioną twarz — Gdzie to takie wyrosło?

Zenek po raz pierwszy chyba spojrział na kogoś z góry. Dawniejsza przyjaźń przysnęła jak ciśniecie szkło.

— A może teraz będziesz mnie wrozu dla odmiany zazdrościł. No, pewnie, masz czego. Gdzieśże ty, Karoliński, bywał, kiedy rośli?...

Jedni zwijali się od śmiechu, innych bardziej nad żart, zdumiało to że Zenek choć raz się postawił.

Syrena fabryczna rozpedziła nas w różne strony, ale poranna wesołość nie zeszła tego dnia z twarzy. Dzielęczęta z brygady młodzieżowej gratulowały po kolei Galasowi, że tego dnia osiągnął pełnoletność.

I znów hala obrabiarek rozbrzmiewała zawziętym warkotem, znów w kontroli przykładano uważnie sprawdziany do wyłoczonych części. A gdy uchylili drzwi do montażu, znów za stołem ujrzałem szerokie ramiona Tomasa Kasperczyka i jego skupioną twarz. Chyliła się w zrozumieniu nad blaszaną płytą, a poniżej palce przebiegały w morzu części, wianuszków, jarzemek, nakrętek. Ociemniały składacz — węzłowy punkt montażu i całej produkcji — składał piasty rowerowe pewnie i miarowo, jak wczoraj, jak przed miesiącem czy przed rokiem. On jeden chyba z całej załogi nie wspomnieli ani słowem wczorajszego wyszcu.

Waldemar Karoliński nie zagrażał u nas miejsca. Płatkowa kłapa podcięta w nim zainteresowanie fabryką. Już nawet wybijał się tutaj nie chciał. Mówił to wyraźnie. — To nie dla mnie robota. Za delikatny jestem. Takie tyranie dobre dla niedźwiedzi. — Było to pite do ciężkiej postaci Kasperczyka. Widać echa niefortunnego wyszcu dźwięczały długo w tej zarozumiałej głowie. A może i coś więcej, gdyż padły wtedy słowa, których nikt się nie spodziewał: — Ale złote ręce ma, bo ma ten cały Kasperczyk. Niech go tam!... Ten są i ten ton po dziwu musiał nie mało Waldemara kosztować.

Nim wiosna minęła, Karoliński pożegnał się z Żabikowem. Mówił, że przez jakiś czas był kelnerem w bufecie na dworcu głównym. Potem zniknął stamtąd i ktoś przyniósł pogłoskę, że stara się o koncesję na wózek z lodami. Wreszcie wszelki śluch o nim zaginął.

O BIUROKRACIE - SZKODNIKU

Za paragrafów parawanem ukrył prawdziwe swe oblicze. Udało, że jest zatroskany, gdy potent odeszł musi z czym; za wychodzącym wiedzie wzrokiem ojcowiskiem niemal, czułym, fikiwym... A potem bierze się pod boki, zadowolony i szczęśliwy.

DO PEWNEJ BIURALISTKI

Za pracowitość chwała, kobieta nią się chlubi. Tyś skromna: mało robisz, bowiem: pochwał nie lubisz.

NA POZNAŃSKI „TEATR SATYRYKÓW”

Miał premierę: „Ślódme poty”, Już się poca — a co potem? JARD

Na naradzie w stolicy pełnomocnicy wojewódzcy wysłuchali czterogodzinny referatu.

1. „Cała nasza akcja musi być dogłębnie przeanalizowana i zreorganizowana po linii wymagań, jakie stawia nam nasza struktura geopolityczna oraz warunki hydrograficzne tudzież biologiczne, specyficzne dla naszych regionów. Dlatego też trzeba zerwać z dotychczasową lekkomyślną bez troską i traktować nasze zadania jako drugorzędne, gdyż hierarchia naszych zadań przedstawia się wprost odwrotnie do harmonogramów, które wytypowaliśmy sobie bez dostatecznego wglądu w istotne potrzeby terenu, w tym roku dostatecznie nasyczonego tym, co stanowi specyfikę naszej pracy, wymagającej, jak wiadomo, baczego śledzenia tego co wyrasta z naszej gleby w warunkach atmosferycznych, wynikających z przesłanek meteorologicznych. Niedocenianie naszych zadań

Zbigniew Grotowski

może wywołać wrażenie, że obchodzą nas te sprawy, które nie wchodzi w zakres naszego resortu, jakiemu przypadło w udziale podciągnięcie tej galezi tak ważnej dla całokształtu naszych obrotów wewnętrznych i zewnętrznych, regulujących rytmiczny wzrost naszego potencjału. Nasze oderwanie się od terenu...

— Itd. itd. Gdy mówca skończył — powiedział jeszcze: — A więc — proszę was — przenieście to w teren...

2. Ponieważ wszyscy uczestnicy narady otrzymali powielane odpisy referatu, więc na zebraniach pełnomocników powiatowych odczytali płynnie cały elaborat i zakończyli zaleceniem: — A więc, koleczy, przenieście to w teren...

3. Na zebraniu pełnomocników gminnych w mieście P. odczytano znowu referat.

— A więc, koleczy — teraz trzeba wykonać w terenie te wszystkie zalecenia. Rozumiecie, o co chodzi?

Wszyscy widąc rozumieć, bo nikt się nie odezwał. Tylko jeden z nich wstał i powiedział: — Ja nie rozumiem...

Pełnomocnik powiatowy był zakłopotany.

— No, koleczy, ponieważ wszyscy zrozumieli, więc może ktoś wytłumaczy koleżce Krawczykowi, który nie rozumie.

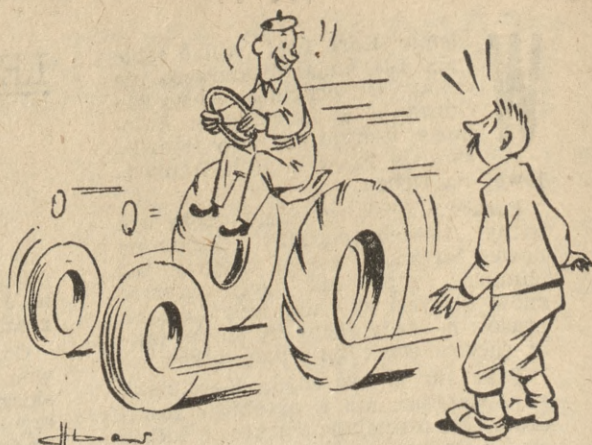
Podniósł się Hwatk.

— Ja wytłumaczę. Otóż w tym roku nie wykonaliśmy planu zbioru jagód, bo się nie obrodziły. Aby wykonać plan, zajęliśmy się skupianiem owoców i robieniem marmolady, co nie należy do naszego resortu. A tymczasem w lasach jest pełno grzybów. Zbiera się tylko prawdziwki, a inne depcze. Nie wykorzystujemy nadmiaru grzybów w tym roku. Oto nasze oderwanie od terenu, oto, co wymaga „baczego śledzenia” tego, co wyrasta z naszej gleby.”

oto, co stanowi „specyfikę naszej pracy”. A więc, koleczy, jedźmy w teren i przenieśmy wyniki stoletniej narady — w jednym zdaniu: „Zbierajmy grzyby!”

Genialnie, kolego — zawołał pełnomocnik powiatowy. Czyście byli na naradzie warszawskiej, żeście tak doskonale pojęli jej sens?

— Nie byłem, ale czytałem w gazecie, że nasze placówki, zamiast zbierać grzyby, do czego jesteśmy powołani — robią marmoladę. Przecież nie możemy czekać, aż fabryki dżemów zaczną zbierać... grzyby



— Tak... Części metalowe oddaliśmy na złom.

Moja ciocia

Moja ciocia ma na strychu Trzy krany po nieboszczyku, Moja ciocia ma w piwnicy Dwie wanny po siostrzenicy; Moja ciocia ma (a jakże!) Po swym dziadku, po swym szwagrze

Trzy lichtarze połamane, Cztery rury poskręcane, Siedem garnków metalowych, Sześć rondli aluminiowych, Jakies graty z miedzi, cyny, Klamki, krany i sprężyny, Pudło z cyny do cykorii, Trzy statuy z prehistorii I popiersie Klemetyldy, Tudzież biust Hermenegildy. To magazyn, a nie dom, Oddaj, ciociu, to na złom! S. PŁOTKOWIAK

NA PUNKCIE ZBIÓRKI ZŁOMU



— Mam tego dość! Nie chcę, żeby mnie w domu traktowali jak dziecko!!!



— Noszę to od czasu, gdy mój kaganiec oddali na złom.



„Uczni” zachodnio-niemieccy przygotowują 500-stronicową monografię o „niemieckim Poznaniu”.

Na ścianie portret mistrza z Bonn „Ostdeutschlands-Plan” nad biurkiem, Przy biurku zaś pracuje on — Profesor Otto Schurke.

Ach, bardzo łatwo będzie mógł W swej pracy dowieść to, że Po kres historii krętych dróg Niemieckim wciąż był Posen.

Ulice (niechaj wie to świat!) Można ich moc wyliczać! Niemiecko-pruski noszą ślad (ul. Prusa, Niemcewicza...)

Napisy w mieście wiele lat, Teatrów nazwy, restauracji W niemieckim były, to jest fakt! (za czasów okupacji).

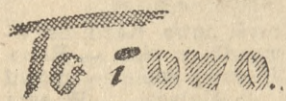
I własny budownictwa styl Stworzyli także Fryce: Otwarta przestrzeń, gruz i pył. (zniszczone patrz dzielnice!)

„Nach Osten!” Z dzielnych rot SS Ukochał każdy mocno szlak ów, Związany więc z tym miastem jest... (drutami k.z.-lagrów).

Ach, wrócić nam na ziemie te, Gdzie tyle naszych śladów, Bo tego dzisiaj większość chce (ta większość z Bundestagu).

Tu przerwał swoich marzeń tok Profesor Otto Schurke. I utkwil z niepokojem wzrok W portrecie ponad biurkiem.

Po pióro znowu sięgnął już, Lecz wnet zadrżało w ręce: Za oknem okrzyk w górę rósł: „Es lebe Oder-Grenze”.



Po układzie z Hiszpanią faszystowską Amerykanie, którzy nigdy nie byli Franko-filami, okazali się jednak Franko-filami.

Pewien właściciel wielkiej biblioteki chce ubezpieczyć swój księgozbiór od ognia. Amerykański agent ubezpieczeniowy oświadcza:

— Muszę jednak przed podaniem polisy ubezpieczeniowej przejrzeć katalog pańskiej biblioteki.

— A to dlaczego?

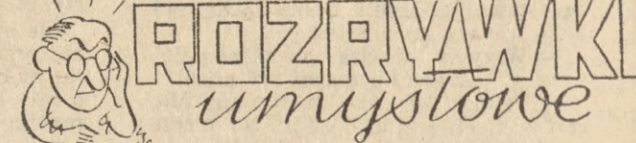
— Trzeba sprawdzić, czy nie ma tam książek przeznaczonych przez Mc Carthygo na spalenie.

Kulak Fr. Kasprzak z Robakowa ukrył 17,5 kwintali zboża w młynie A. Terebusa, aby w ten sposób uchylić się od obowiązkowej sprzedaży zboża. (Z pras)

— Co to, gimna stykujecie się?

— Przysiadaj według zaleceń lekarza.

— Uważajcie. Od takich przysiadów można siedzieć!



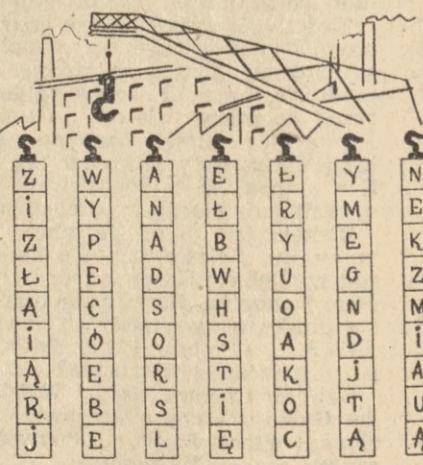
1. Wysuwanka

Trzy pierwsze i trzy ostatnie kolumny z literami należy symetrycznie w stosunku do środkowej kolumny tak wysunąć w górę, aby można było poziomo odczytać aktualne rozwiązanie.

2. Załadka matematyczno-przyrodnicza

— Zebrałem do pudełka pajaki i żuki, ogółem 9 sztuk — powiedział jeden chłopiec do drugiego.

— Powiedz mi dokładnie, ile masz

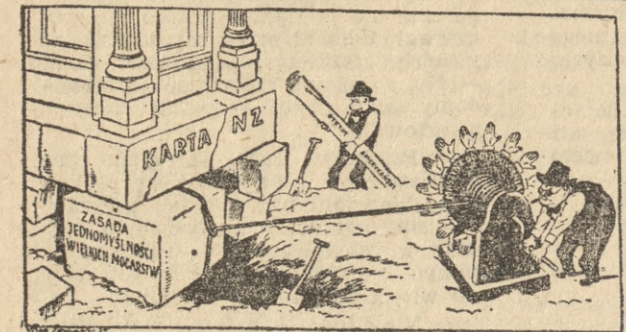


pajaków i ile żuków? — odrzekł jego towarzysz.

— Odgadnij sam. Powiem ci tylko, że policzyłem wszystkie nogi w pudełku, jest ich 60 — odpowiedział zapytany.

Czy na podstawie tej rozmowy potrafisz i ty, Czytelniku, odpowiedzieć na zadane przez jednego z chłopców pytanie?

Wśród osób, które nadesłały prawidłowe rozwiązanie przynajmniej jednego zadania rozrywkowego, rozlosujemy 5 wartościowych nagród książkowych. Rozwiązania należy nadsyłać w terminie tygodniowym pod adresem: Redakcja „Głosu Wielkopolskiego”, Grunwaldzka 19, z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”.



„Umocnienie” ONZ według metody Dullesa. Przebudowa fundamentów. Rys. Bor. Jefimow — „Krokodil”

Adenauerowi do „szlamucha”

Z prasy: Bonnski kanclerz nie ukrywa swych zamiarów wznowienia „Drang nach Osten”

Pamiętamy „Drangi”, były już w historii Nic z tych „Drangów”, z „Osten”, nie zostało z glorii Spójrzcie Adenauer na te dzieła karty Był już kiedyś jeden, taki Bonn...aparte.

Student



wczoraj



i dziś

Z bikiniarskiego Zachodu

Zdjęcie niniejsze nie pochodzi wcale spoza Atlantyku, z kraju, gdzie wszystko, co niemożliwe, staje się „możliwym”. Sfotografowany bikiniarz jest studentem zachodnio-berlińskiej Akademii Sztuk Pięknych, któremu normalne ubranie dostarcza widocznie zbyt mało wrażeń. Prosimy popatrzeć na jego modne „wdzianko”.

Spodnie są tak wąskie, że trzeba je wciągać na siłę, a „muszka” przy kołnierzyku przypomina w swym ogromie podwiązany strzyżek wisielca. Czupryna oczywiście na „szczotkę wazbki” w sam raz odpowiednia dla twarzy z wyrazem „atlantycznej glebi”. Można sobie wyobrazić, jak musza wyglądać jego „twórcze studia” oraz plody jego „artystycznej duszy”.

Tak wygląda klasyczny wzór dla młodzieży akademickiej Berlina zachodniego. Nawet policjant, przyzwyczajony do rozmaitych typów atlantycznego chowu i pokroju, chwycił się za głowę, na widok podobnego przedstawiciela ludzkiego rodzaju, tak konkretnie reprezentującego demokratyczne deklaracje zachodnie o „prawie do własnej osobowości”.



Witold Degler

Jak przed wojną studiowała „złota młodzież”

O, złote lata złotej młodzieży, pełne emocji i wrażeń syte! Niektórym panom ileż to przeżyć dawał przed wojną uniwersytet!

Dla nich już samo miano studenta było patentem na wszelkie draki — dekiel na bakier, mina nadęta, wzrok łowelasa, krok zawadiaki!

Gość wybrał sobie jakiś tam wydział, nie — by studiować: nauka — furda! Iść na wykłady? A któż to widział! Większa przyjemność — granda i burda!

Politykierstwo, woda i dziewczki — w takich „przedmiotach” był doskonały. Jak walić pałką — znał na wyrywki! Za to w nauce dostawał pacy!

Czuł powołanie do „większych” rzeczy (na studiałożył bogaty papa) — oenerowski w kłapie tkwił miedzcyk, a w egzaminach u typka... kłapa!

„Był to czas! W głowie się kręci! Jeszcze w pamięci szumią i huczą!... A dziś — o, losie! — nasi studenci tylko... pracują! tylko... się uczą!”

Lubił pijany rozgwar libacji fuków, filistrów... Ach, te parady, bale, komersze — black korporacji, galowe szarfy, sztandary, szpady!...

Co rok pielgrzymka do Częstochowy, wzniosłych ślubowań i uczuć ogrom — a potem w ręce nóż sprężynowy, kamień i kaslet — i Żydów pogrom!

I „wieczny student” ciskał petardy, „numerus clausus” miał dla mniejszości — choć sam, do pracy pełen pogardy, w salach wykładowych tak rzadko gościł!

Plótł o „honorze”, a honor plamił, w szowinistycznym grzeczności kompleksi! Studencki „indeks” świecił pustkami, bo on naukę miał... na indeksie!

Ten birbant, pałkarz, grandziarz ponury, co psuł przed wojną imię studenta, dziś już nie zbłądzi w uczelni mury, ale we wspomnień tonie odmetach!

